

Zawłaszczanie Jezusa

Na wtargnięcie w czasie papieskiego świątecznego błogosławieństwa do szopki ustawionej na Placu św. Piotra w Rzymie półnagiej aktywistki należącej do kobiecej organizacji *Femen*, można spojrzeć jak na odosobniony incydent, podobnie jak postrzegane bywają inne akcje tej organizacji. „Kradzież” figurki Dzieciątka Jezus, a następnie interwencja policji, to pstre i krzykliwe prowokacje, mające szokować, a przez to powiększać medialną obecność i popularność tej organizacji. *Femen*, która została stworzona w odruchu jak najbardziej uzasadnionego sprzeciwu wobec seksturystyce, wykorzystywaniu kobiet i przemocy wobec nich, szybko przekształciła się w forpocztę radykalnych feministycznych postulatów. Napis na nagich piersiach „złodziejki” figurki Dzieciątka Jezus: „Bóg jest kobietą” oraz oświadczenie *Femenu*, że była to przygrywka do akcji pod nazwą „Polowanie na betlejemskie dzieciątka”, mająca być formą sprzeciwu wobec stanowiska Watykanu wobec praw kobiet do własnego ciała i rozrodczości, każe widzieć w tej akcji nie tylko odosobniony akt, ale raczej symbol przybierającej na sile wojny kulturowej.

W samym jej centrum stoi spór o kształt i wartość rodziny. Nie ulega wątpliwości, że żyjemy w epoce społecznych przełomów i ponawiających się prób skonstruowania nowego społeczeństwa, które mają wychować nowych, radykalnie autonomicznych ludzi. By osiągnąć te cele, trzeba jednak najpierw dokonać dekonstrukcji dotychczasowego świata wartości, który wbrew prorocztwom wieszczącym jego rychły upadek, wykazuje niezwykłą, dla zwolenników nowego świata wręcz irytującą żywotność. Zręby tego „starego” świata zostały zbudowane na Ewangelii i mimo wszystkich swoich niedoskonałości, wynikających z ludzkich rządów i wad jego budowniczych,

pozostaje on światem opartym na szacunku dla każdej istoty ludzkiej, niezależnie od jej stopnia rozwoju, pochodzenia czy znaczenia społecznego.

Ten świat jest jednak coraz bardziej kontestowany, szczególnie dlatego, że jedną z jego głównych wartości jest rodzina zbudowana na trwałej miłości mężczyzny i kobiety. Nie jest przypadkiem, że właśnie okres Bożego Narodzenia, gdy liturgia Kościoła skupia swoją uwagę na Świętej Rodzinie z Nazaretu, przypominając wartość i znaczenie życia rodzinnego, jest czasem gwałtownej konfrontacji między ewangeliczną wizją społeczeństwa a projektem jego przemodelowania w myśl postulatów feministyczno-genderowych. Również rok temu w okresie Bożego Narodzenia przetoczyła się przez Polskę debata na temat *ideologii gender*, dzięki której pojęcie to stało się dla wielu po raz pierwszy czytelne. Starcie tych dwóch wizji rodziny, a co za tym idzie także społeczeństwa, wcale jednak nie zostało zakończone.

Co jednak ten kulturowy spór ma wspólnego z akcją aktywistki *Femenu* na Placu św. Piotra? Chociaż w nowym, feministyczno-genderowym projekcie społecznym Bogu wyznacza się miejsce poza przestrzenią społeczną, jedynie w obszarze prywatnym, to jednak protagoniści tej wizji doskonale rozumieją, że nie da się z dnia na dzień wykorzenić uświęconej wieloma wiekami tradycji obyczajowości. Dlatego zamiast eliminować Jezusa, trzeba Go „wykraść”, zawłaszczyć, ubrać w szaty nowego projektu społecznego, uczynić pierwszym orędownikiem feministyczno-genderowego świata. To właśnie w czasie okołobożonarodzeniowym serwowana jest społeczeństwu medialna papka, przyczyniająca się do tego, że można odnieść wrażenie, iż wierna i stabilna rodzina, wychowująca z sukcesem swoje dzieci, jest jakimś niedościgłym ideałem, a na co dzień mamy do czynienia jedynie z patologią rodzinną albo przynajmniej ze szczęściem rodzinnym nieustannie „rekonstruowanym” po rodzinnych dramatach, rozwodach, luźnych związkach, samotnym rodzicielstwie itp.

W pewnym sensie spór o kształt rodziny ujawnia się także w dyskusji wewnątrzkościelnej i to nie tylko w Polsce. Próby wywierania wpływu na zmianę nauczania Kościoła w odniesieniu do małżeństwa i rodziny, które stały się widoczne w tle obrad nadzwyczajnego synodu biskupów w Rzymie, mogą być postrzegana także jako swego rodzaju „wykradanie” Jezusa. Czy orędownikom nowego obrazu rodziny uda się zawłaszczyć Jezusa, „ukraść” go spod stóp Józefa i Maryi? Będzie to zależało między innymi od klarownego świadectwa chrześcijańskich małżeństw i rodzin.

Luty 2015

Pigułka pogardy

Decyzja Komisji Europejskiej by pigułkę *ellaOne*, należącą do środków tzw. antykoncepcji postkoitalnej czy awaryjnej, określana także jako tabletką "po", była w aptekach dostępna bez recepty, wywołała z jednej strony euforię środowisk propagujących antykoncepcję, a z drugiej liczne protesty środowisk broniących życia.

Tabletka *ellaOne* była już dostępna w aptekach, jednak warunkiem jej otrzymania była recepta. Uczynienie z niej specyfiku ogólnie dostępnego stanowi niewątpliwie nową odsłonę w starciu dwóch cywilizacji: śmierci i życia, o której tak wiele mówił Jan Paweł II. W dramatyczny sposób fakt ten potwierdza diagnozę Jana Pawła II sprzed dwudziestu lat. W ogłoszonej w 2015 r. encyklice *Evangelium vitae* papież rozróżnił wprawdzie między antykoncepcją a aborcją, stwierdzając, że są to z *moralnego punktu widzenia dwa zasadniczo różne rodzaje zła: jedno jest sprzeczne z pełną prawdą aktu płciowego jako właściwego wyrazu miłości małżeńskiej, drugie niszczy życie ludzkiej istoty.*

Jednak zaraz dodał: *Mimo tej odmienniej natury i ciężaru moralnego pozostają one bardzo często w ścisłym związku, niczym owoce jednej rośliny* (EV 13).

W ostrej dyskusji medialnej odnośnie tej kwestii rzuca się w oczy przede wszystkim brak rzetelności informacyjnej. Zakładając, że wypowiadający się eksperci nie są ignorantami, trudno nazwać tę kampanię dezinformacyjną inaczej jak zawołowanym kłamstwem. Obok nieprawdziwych sugestii, jakoby kraje członkowskie były zmuszone do wprowadzenia w życie dyrektywy Komisji Europejskiej i nie miały w tej materii żadnego wyboru, informacyjny zamęt dotyczy przede wszystkim mechanizmu działania *ellaOne*. W dyskusjach medialnych podkreśla się, że jest to preparat wyłącznie antykoncepcyjny. Zarzuty środowisk *pro life* opierają się zatem, jak się twierdzi, na braku wiedzy, a pigułka może być wielkim dobrodziejstwem, gdyż pozwoli znacznie zmniejszyć liczbę aborcji.

Entuzjaści decyzji Komisji Europejskiej podkreślają, że *ellaOne* "nie powoduje przerwania istniejącej" ciąży. Taki dobór słów jest nieprzypadkowy. Stoi za nim określona definicja ciąży, która za jej początek traktuje zagnieżdżenie embrionu w macicy. Wszystko, co dzieje się wcześniej, a więc od zapłodnienia do zagnieżdżenia, a więc w pierwszych kilku dniach życia embrionu, gdy wędruje on w jajowodzie w kierunku macicy intensywnie się rozwijając, nie podpada tu pod definicję ciąży. Powstały już embrion, a więc istota ludzka, która rozpoczęła swoje unikalne i jedyne życie, jest traktowany jako lekko zmodyfikowana (bo zapłodniona) komórka jajowa, której nie trzeba poświęcać wiele uwagi. Zabicie takiego wczesnego embrionu nie będzie więc także traktowane jako działanie wczesnoporonne.

Gdy szuka się na fachowych portalach internetowych odpowiedzi na pytanie, czy *ellaOne* ma działanie wczesnoporonne, można znaleźć np. takie wyjaśnienie: "Nie. Tabletki *ellaOne* zapobiega ciąży, zapobiegając owulacji lub opóźniając ją lub utrudniając zagnieżdżenie się zarodka / zapłodnionego

jajeczka w macicy. Jeśli uznajemy, że początek życia to powstanie zarodka, to stosowanie tego środka będzie dla nas kontrowersyjne". Prawda jest więc zgodna: owszem, *ellaOne* może mieć działanie antykoncepcyjne (przeciwpoczęciowe), ale jedynie wtedy, gdy kobieta przyjmie ją przed owulacją. Gdy uczyni to w trakcie lub po owulacji, pigułka spowoduje na zniszczenie rozpoczętego życia nowej istoty ludzkiej, a więc będzie formą aborcji. Owszem, *ellaOne* pozwoli zmniejszyć liczbę *późniejszych* aborcji, zwiększając jednocześnie liczbę *wcześniejszych* aborcji. Będą one teraz anonimowe, dokonywane już nie w gabinetach ginekologicznych, ale w zaciszu domowym. Przy takim podejściu wartość życia istot ludzkich w pierwszej fazie ich istnienia równa jest zeru. Nie trzeba wiele wyobraźni, by dostrzec konsekwencje takiego podejścia także w obszarze innych zagadnień bioetycznych, np. zapłodnienia in vitro. Jeżeli poczęty na drodze naturalnej i wędrujący w jajowodzie embrion jest niczym i może być bez problemu uśmiercony, dlaczego ktoś miałby się przejmować takimi samymi embrionami wyprodukowanymi w laboratorium i używanymi do zapłodnienia in vitro, a potem ponosić wielkie nakłady finansowe, by trzymać embriony nadliczbowe w zamrażarkach?

ellaOne to doprawdy pigułka pogardy dla najsłabszych, których śmierć już nawet nie zasługuje na zarejestrowanie w wykazie dokonanych aborcji. Pośrednio dyskusja ta rzuca światło także na rzekomą niezawodność nowoczesnych metod antykoncepcji. Zdaniem zwolenników nowej generacji pigułek, jej upowszechnienie i udostępnienie jest konieczne. Dlaczego? Bo, jak się okazuje, inne środki antykoncepcyjne zbyt często zawodzą....

W zatarciu różnicy między antykoncepcją a aborcją widać, jak prorocza była diagnoza Jana Pawła II. W tym przypadku są to faktycznie dwa owoce jednej rośliny – mentalności antynatalistycznej. Różnica ta, obecna jeszcze

niedawno w każdej dyskusji na temat antykoncepcji, nie odgrywa tu już żadnej roli.

Marzec 2015

Konwencja o reedukacji społeczeństw

Ratyfikacja przez polski parlament *Konwencji o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej* - CAHVIO, zwanej w Polsce popularnie *Konwencją przemocową*, rozpałała na nowo dyskusję dotyczącą ideologii genderowej. Uważna lektura treści Konwencji nie pozostawia jednak złudzeń: jest ona kolejnym krokiem w przełamywaniu społecznego oporu wobec tejże ideologii.

Kto ma odwagę postawić publicznie taką tezę, musi liczyć się natychmiast z gradem miazdzącej krytyki. Jak można mieć coś przeciwko zwalczaniu przemocy wobec kobiet? Kto jest przeciw Konwencji, staje po stronie sprawców takiej przemocy! A poza tym, z jakiej racji w ogóle łączy się postulat zwalczania przemocy wobec kobiet z genderyzmem? Niechęć wobec Konwencji jest oczywiście wyrazem panicznego lęku przed tym, co nowe i typowo katolickiego zapóźnienia, nienadążającego za postępem – to tylko kilka prasowych komentarzy do krytyki Konwencji. Kto ma rację? Wbrew pozorom spór ten jest możliwy do rozstrzygnięcia. Wystarczy jedynie uważna lektura treści tego dokumentu.

Powiązanie postulatu przemocy wobec kobiet z ideologią gender nie jest wymysłem krytyków, ale wynika z tekstu Konwencji. Już w art. 3 Konwencji znajdujemy definicję płci społeczno-kulturowej (gender). Oznacza ona *społecznie skonstruowane role, zachowania, działania i atrybuty, które dane społeczeństwo uznaje za odpowiednie dla kobiet lub mężczyzn*. Gdyby chodziło

o *jedną* z możliwych perspektyw, definicja ta nie stanowiłaby tu problemu. Jednak dalsza lektura Konwencji nie pozostawia wątpliwości, że nie jest to jedna z perspektyw, ale perspektywa *jedyna*. Otóż w art. 6 sygnatariusze Konwencji *zobowiązują się uwzględniać perspektywę płci społeczno-kulturowej [gender] w toku wdrażania i oceniania wpływu zapisów niniejszej konwencji*, natomiast w art. 18, dotyczącym ochrony ofiar, strony zobowiązują się do *czuwania, by działania podejmowane [...] opierały się na uwzględnieniu kwestii płci społeczno-kulturowej [gender] w pojmowaniu przemocy wobec kobiet oraz przemocy domowej*. Cała konwencja zmierza zatem do promocji, wręcz do wymuszenia genderowego podejścia do płci, a to oznacza negację tzw. stereotypowych ról kobiet i mężczyzn. Te stereotypowe role to po prostu kobiecość kobiet i męskość mężczyzn, a więc zgodność zachowania z płcią biologiczną i wynikającymi z niej osobowościowymi implikacjami. W ten sposób jak najbardziej słuszny postulat walki z przemocą wobec kobiet zostaje nierozdzielnie powiązany z postulatem promocji genderyzmu, a więc ról płciowych wynikających z innych "tożsamości" płciowych i orientacji seksualnych: homoseksualnych, biseksualnych, transseksualnych, czy też całkowicie zaburzonych i nieszablonowych. To one mają być promowane, klasyczne zaś rozumienie płci – wykorzeniane. Mowa jest o tym w art. 12 Konwencji, gdzie przewiduje się *promocję zmian w społeczno-kulturowych wzorcach zachowań kobiet i mężczyzn w celu wykorzenienia uprzedzeń, zwyczajów, tradycji oraz innych praktyk opartych na idei niższości kobiet lub na stereotypowych rolach kobiet i mężczyzn*. Niestereotypowe role płciowe muszą być także uwzględnione w materiałach dydaktycznych i programach za wszystkich poziomach edukacji (art. 14).

Jeżeli na problem przemocy wobec kobiet będzie się patrzyło jedynie przez genderowe okulary, wtedy jako przemoc będzie można zakwalifikować nie tylko np. dyskryminację kobiet na rynku pracy, bicie poniżanie słowne, czy

gwałt, ale także brak zgody na realizację życiowych aspiracji w postaci zawarcia związku jedнопłciowego i adopcji dzieci przez kobiety – lesbijki czy transseksualistki. Definicja małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiet będzie można przecież uznać za klasyczny wyraz stereotypowych ról płciowych, co musi, w myśl Konwencji, być wykorzenione i zwalczane.

Na poziomie socjotechnicznym Konwencja jest rzeczywiście majstersztykiem. Zrozumiały i powszechnie akceptowany w społeczeństwie postulat zapobiegania przemocy wobec kobiet i walki z nią zostaje tak ściśle powiązany z postulatem popierania i popularyzacji ideologii genderowej, że każdy, kto sprzeciwia się tej ostatniej, zostaje określony jako sprzymierzeniec sprawców przemocy wobec kobiet. Kto chce walczyć z przemocą wobec kobiet, może to uczynić jedynie w ramach swoistej sprzedaży wiązanej: musi zaakceptować genderowe podejście do płci, inaczej staje się prześladowcą kobiet.

Trudno więc zaprzeczyć, że Konwencja to kolejny krok w globalnym projekcie reedukacji społeczeństw, czyli projekcie zmierzającym do – jak to określił znany monachijski filozof Robert Spaemann – *usunięcia z umysłów tego, co od tysięcy było dla ludzkości oczywistością: nawyku rozróżniania mężczyzn i kobiet, odróżniania siły wzajemnego przyciągania seksualnego obu tych płci, na której opiera się egzystencja ludzkości [...] od wszystkich innych form zaspokojenia seksualnego.*

Koniec człowieczeństwa

Chociaż niewątpliwie wielu współczesnych autorów mogłoby opatrzyć swoje teksty podobnym hasłem, nie jest ono współczesne. Jest to tytuł eseju, który został napisany ponad 70 lat temu przez C.S. Lewisa. Niezwykle oryginalny talent tego pisarza do dzisiaj zdumiewa, nie tylko pod wpływem lektury *Opowieści z Narnii*, ale także całego szeregu analiz i esejów, dostępnych na nowo od kilku lat w polskich przekładach. Lewis pisał je pod wpływem aktualnych wydarzeń, stąd tym bardziej zdumiewająca jest ich niezwykła aktualność. *Koniec człowieczeństwa* należy do grupy trzech wykładów wygłoszonych w 1943 r. w King's College w Newcastle. Tym, co musi zdumiewać współczesnego czytelnika, jest niezwykła przenikliwość autora tego tekstu. W czasie, gdy na kontynencie europejskim jeszcze toczy się wojna, Lewis już dostrzega pojawienie się niepokojących nurtów myślowych i w iście proroczy sposób zdaje się przewidywać ich dalszy rozwój. Ukazuje istotę i mechanizmy inżynierii społecznej, która w kilka dziesięcioleci po napisaniu *Końca człowieczeństwa* zaczyna być nie tylko klarownie widoczna, ale uzyskuje dominujący wpływ na rozwój społeczeństw na poziomie globalnym.

Rodzi się ona tam, gdzie człowiek w imię postępu zamierza całkowicie podporządkować sobie nie tylko naturę rozumianą jako przyroda, ale przede wszystkim naturę ludzką. "Wyzwolenie" człowieka z własnej natury – a wraz z nią z tradycji, niosącej wiedzę o podstawowych i niezmiennych zasadach moralnych – będzie prowadziło, jak przewiduje Lewis, do zupełnie nowej formy poddaństwa. Jeżeli nie ma już wspólnej moralnej miary dobra i zła, to nie ma też zasad, które zobowiązywałyby jednakowo rządzonych i rządzących. Miara porządku społecznego staje się wizja i determinacja tych, którym się wydaje, że

wiedzą, w jakim kierunku ludzkość powinna podążać. Lewis nazywa ich "Projektantami". Zgodnie z ich projektem *tradycyjne wartości trzeba zakwestionować, a ludzkość przykroić według najnowszego wzoru zgodnie z upodobaniem [...] garstki szczęśliwców jednego szczęśliwego pokolenia, które odkryło, jak się to robi*. "Projektanci" nie są oczywiście gotowi przyznać, że odrzucając obiektywną moralność, próbują narzucić ludzkości swoje upodobanie, swój własny punkt widzenia. Zamiast tego twierdzą, że miarą jest ludzki rozum, a poszczególne społeczeństwa i cała ludzkość powinny być oparte na racjonalności, przy czym to "Projektanci" definiują, co jest, a co nie jest racjonalne. Lewis nie ma złudzeń, dokąd to prowadzi: *Skrajny racjonalizm, który "przejrzał na wylot" wszystkie "racjonalne motywy", czyni swoich wyznawców istotami postępującymi zupełnie irracjonalnie*.

Obserwując świat drugiej dekady XXI widać coraz wyraźniej, że w ten sposób powstaje społeczeństwo, w którym istnieje wprawdzie pozór demokracji wraz z silną alergią wobec naturalnego prawa moralnego i wszelkich tradycyjnych autorytetów, ale jednocześnie gusta i poglądy członków tego społeczeństwa są pieczołowicie kształtowane przez inżynierów społecznych, media oraz dysponujące ogromnymi funduszami grupy lobbystyczne.

Skojarzenie z esejem Lewisa nie jest przypadkowe. W tym roku Dni Ateizmu, obchodzone przez środowiska dążące do sterylnej laickości państwa, zbiegły się w czasie z Niedzielą Palmową. W przestrzeni medialnej pojawiły się znane hasła, że państwo rzekomo jest zawłaszczane przez religię, że przestrzeń publiczna ma być laicka, bez znaków i symboli religijnych, że religia jest nietolerancyjna, bo wierzący twierdzą, że wyraża ona prawdę o Bogu, człowieku i świecie... Tradycja chrześcijańska, zgodnie z którą człowiek nie ma władzy nad dobrem i złem, a fundamentalne zasady moralne wynikają z ludzkiej natury i są niezmiennie, zderza się tu z projektem innego świata, w którym wszystko jest płynne, także moralność i wszystko podlega ustaleniu, a

tradycja i ludzka natura to relikty przeszłości, stanowiące przeszkodę dla postępu. Czy ten nowy, wspaniały świat będzie bardziej przyjazny i ludzki? Lewis nie miałby wątpliwości: *Wiara w dogmat o istnieniu obiektywnych wartości jest niezbędna, by pojęcie władzy niebędącej tyranią i posłuszeństwa niebędącego niewolnictwem miało w ogóle rację bytu*. Tam, gdzie ta wiara zostaje zakwestionowana, los człowieka i człowieczeństwa jest przesądzony.

Maj 2015

Si vis pacem, para bellum

W tym rzymskim przysłowiu tkwi ogromna doza rezygnacji w odniesieniu do kondycji człowieka. Kto mówi: "Jeżeli pragniesz pokoju, szykuj się do wojny", ten zdaje się kapitulować wobec ludzkiej skłonności do agresji i przemocy i tracić nadzieję, że prawdziwy pokój w ogóle jest możliwy. Normalnym stanem stosunków międzyludzkich zdaje się być wojna, a pokój to tylko krótkie pauzy, do których nie należy przywiązywać wielkiej wagi.

Potoczna obserwacja wydarzeń w świecie zdaje się taką diagnozę potwierdzać. Maj jest zazwyczaj miesiącem świętowania zwycięstwa nad hitlerowskim faszyzmem, które w tym roku – z racji siedemdziesiątej rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej – wypada szczególnie uroczystie. Cóż, kiedy wielka parada wojskowa na Placu Czerwonym w Moskwie musi być postrzegana nie jako parada zwycięstwa, ale raczej jako prężenie muskułów globalnej militarnej potęgi wobec świata, który nie chce zaakceptować jej totalitarnych zapędów.

Wydarzenia na Ukrainie pokazały nie tylko bezradność świata wobec brutalnej agresji silniejszego państwa wobec słabszego sąsiada, ale także odsłoniły nowy wymiar wojny, który czyni ją jeszcze bardziej niebezpieczną.

Chodzi nie tylko o agresję militarną, ale o zmasowany atak medialno-informacyjny, który sprawia z jednej strony, że społeczeństwo kraju będącego agresorem przestaje dostrzegać dokonujące się zło i popiera działania rządzących, a z drugiej - doprowadza do zamętu informacyjnego i do pasywności światowej opinii publicznej.

Każdego, kto jeszcze przed kilku laty ostrzegałby przed groźbą wybuchu nowego konfliktu zbrojnego na skalę światową, określono by jako zwolennika teorii spiskowych, który stracił kontakt z rzeczywistością. Dzisiaj mnożą się ostrzeżenia przed nową wojną, których nie da się uspokoić pokojową retoryką.

Można zapytać: co na to chrześcijaństwo? Z wielką siłą brzmi w kontekście dzisiejszych zagrożeń wstrząsający apel Jana Pawła II, wypowiedziany do korpusu dyplomatycznego przy Stolicy Apostolskiej tuż przed wybuchem II wojny w Zatoce Perskiej: *Wojna nigdy nie jest nieuchronna! Wojna zawsze jest porażką ludzkości! [...] Wojna nigdy nie jest metodą taką samą jak inne, którą można się dowolnie posługiwać, aby rozstrzygać spory między państwami. Jak przypomina Karta Narodów Zjednoczonych i prawo międzynarodowe, nawet gdy chodzi o obronę dobra wspólnego, można się do niej uciec jedynie w sytuacji zupełnej ostateczności, zachowując przy tym ściśle określone warunki i biorąc pod uwagę jej konsekwencje dla ludności cywilnej w czasie działań wojennych i po ich zakończeniu.*

Chrześcijańska aktywność na rzecz pokoju nie może być wprowadzie utożsamiana z miłąkimi pacyfizmem. Chrześcijanie nie są pięknoduchami, którzy nie liczą się z przepaścistymi ciemnościami ludzkiej natury, kiedy zawładną nią siły zła. Ale mimo wszystko to nie wspomniane łacińskie przysłowie powinno kierować chrześcijańskim zaangażowaniem w świecie. Jezus po prostu wezwał swoich uczniów do czynienia pokoju: *Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi* (Mt 5,9). Czynić pokój, a nie tylko o nim rozprawiać i do niego wzywać – to program pracy niemalże organicznej, który

wobec nagromadzenia nowoczesnej broni na świecie wydaje się być naiwny i całkowicie bezbronny. Jednak każda inna droga jest jedynie nieznacznym i czasowym przytłumieniem pożogi, która nieuchronnie wybuchnie na nowo.

Wojna nie rozpoczyna się w gabinetach przywódców opętanych żądzą podporządkowywania sobie ludzi i narodów. Ona jest dzieckiem kultury, która z jednej strony ustanawia ludzkie ego ostatecznym punktem odniesienia i najwyższą normą moralną, unieważniającą wszelkie inne wartości i zastrzeżenia, a z drugiej czyni życie pojedynczego człowieka nieistotnym szczegółem w ramach wielkiej polityki. Zmaganie się o światowy pokój rozpoczyna się zawsze od postawy szacunku dla każdego pojedynczego człowieka i od budowania opartej na takiej postawie kultury. Zamiast więc przygotowywać się do nowej wojny, może warto żyć według innego, niż dawna łacińska maksyma, przysłowia: "Jeżeli chcesz pokoju, buduj kulturę życia".

Czerwiec 2015

Znaki czasu

Aby nie zasłużyć na zarzut Ludwika Feuerbacha, że religia ukazuje jedynie perspektywę dalekiej (bo pośmiertnej) przyszłości i dlatego jest jak opium, uniemożliwiające ludziom włączenie się w nurt wydarzeń, refleksja teologiczna nie może szybować ponad tym, co się aktualnie dzieje. Jej znaczenie polega właśnie na tym, że próbuje zinterpretować wydarzenia codzienności w świetle wiary.

Co najmniej dwa wydarzenia ostatniego miesiąca zasługują na taką interpretację, a nawet się jej domagają. Jednym jest wynik wyborów prezydenckich w Polsce, a drugim wynik referendum w sprawie zmiany definicji małżeństwa w Irlandii. Dla wielu, którzy pragną żyć zgodnie z wiarą w

Chrystusa, pierwsze z nich jest znakiem nadziei, drugie natomiast – powodem niepokoju.

Niezależnie od sympatii czy antypatii wobec jednego z kandydatów na urząd prezydenta, jedno nie ulega wątpliwości: wynik referendum jest znakiem odzyskania niezależności osądu rzeczywistości przez znaczną część polskiego społeczeństwa. Mimo znakomitych sondaży, ale także publicznego poparcia wielu znanych osób, a nawet całym celebryckich kręgów, przeważająca część społeczeństwa nie potwierdziło status quo, ale zdecydowało się na zmianę. Oznacza to także złamanie hegemonii największych mediów, które od dłuższego już czasu sprawiały wrażenie, że są w posiadaniu licencji na to, co wypada myśleć i jak należy sądzić. Prezydent - elekt Andrzej Duda nigdy nie starał się ukrywać swojej wiary, dlatego jego wybór jest nie tylko mandatem zaufania dla konkretnego człowieka i wyrazem uznania dla jego charyzmy, ale w pewnym sensie także wyborem światopoglądowym, wyborem wartości, które nowy prezydent sobą reprezentuje: ludzkiego życia, rodziny, głębokiego patriotyzmu, uczciwości w polityce.

Zupełnie innego wyboru w odniesieniu do wartości małżeństwa i rodziny dokonało społeczeństwo irlandzkie. Jako jedyne społeczeństwo świata Irlandczycy zdecydowali w wyniku powszechnego referendum, że droga do zmiany konstytucyjnej definicji małżeństwa jest otwarta. Aż 62% społeczeństwa irlandzkiego opowiedziało się za tym, że małżeństwo może zostać zawarte przez dwie osoby bez względu na ich płeć. Nie chodzi już zatem o jedнопłciowe związki partnerskie – te zostały w Irlandii ustawowo uznane już kilka lat temu – ale o urzędową redefinicję małżeństwa ze wszystkimi przywilejami, jakie mu przysługują.

Nie jest to jedynie kosmetyczna zmiana jakiejś ustawy, ale decyzja o znaczeniu niemalże cywilizacyjnym. Społeczeństwo irlandzkie uchodziło do tej pory za katolickie, o czym świadczyły zarówno znaczenie Kościoła katolickiego i

związanych z nim instytucji oświatowych, jak też wyniki wcześniejszych referendów. Wynikiem jednego z nich był niemalże całkowity zakaz aborcji, z wyjątkiem przypadków, w których zagrożone jest życie matki. Decyzja o zrównaniu w statusie i prawach związków jedнопłciowych z małżeństwem sprawia, że katolickie podstawy społeczeństwa irlandzkiego mają już jedynie znaczenie historyczne.

Nie sposób nie zadać pytania, jak taka diametralna zmiana świadomości społecznej była w ogóle możliwa? Niewątpliwie jest ona pokłosiem skandali związanych z wykorzystywaniem seksualnych nieletnich przez osoby duchowne. Przypadki tego typu były w Irlandii stosunkowo liczne, a postawa biskupów wobec nich na tyle niezdecydowana i dwuznaczna, że ujawnienie ich spowodowało gwałtowną utratę wiarygodności przez Kościół. Marnym pocieszeniem jest fakt, że tak, jak w wielu innych krajach, dzięki zmasowanej propagandzie środowisk nieprzychylnych Kościołowi, cała uwaga społeczeństwa została skierowana na przypadki pedofilii w Kościele, stanowiące wierzchołek góry lodowej, jaką jest zjawisko pedofilii we wszystkich grupach społecznych. Ta głęboka rana sprawiła, że Kościół irlandzki w obliczu majowego referendum nie był w stanie, a może też nie miał odwagi, by stanąć do tej cywilizacyjnej batalii z przekonującymi i jasno wyrażanymi argumentami. Oczywiście nie należy zapominać o rzeszach Irlandczyków, które okazały się mniejszością, a które wyraziły w referendum swój sprzeciw, również, a może przede wszystkim, ze względu na wierność Ewangelii i Kościołowi.

Porównywanie obydwu znaków czasu nie oznacza w żadnym stopniu porównywania stanu Kościołów lokalnych - polskiego i irlandzkiego. Gdyby podobne referendum, dotyczące związków jedнопłciowych, zostało przeprowadzone w Polsce, jego wynik zapewne wcale nie byłby przewidywalny. Kościół irlandzki nie powiedział też ostatniego słowa. Zaistniała sytuacja może paradoksalnie przyczynić się do ożywienia świadomie wybranej - a nie tylko

tradycyjnej przynależności do wspólnoty wierzących w Chrystusa. Jedno jest pewne: Kościołowi w żadnej części świata nie wolno ani popadać w samouwielbienie i tryumfalizm, gdy doznaje społecznego poparcia, a wartości, jakie wyznaje, są popierane przez społeczną większość, ani też nie wolno mu bojaźliwie milczeć i wycofywać z przestrzeni publicznej, nawet wtedy gdy przychodzi mu głosić prawdy bardzo niepopularne.

Lipiec 2015

Czy papież musi zajmować się ekologią?

Encyklika papieża Franciszka *Laudato Si'*. *W trosce o wspólny dom* jeszcze nie ujrzała światła dziennego, a media już zdawały się wiedzieć, że jest "antypolska" oraz że papież powinien zająć się czymś innym, niż ekologią. Kto mimo tych uprzedzeń sięgnął po nią i zapoznał się z jej treścią, musiał stwierdzić, jak bezsensowne były tego rodzaju zarzuty. Pierwsza w historii nauczania Magisterium Kościoła na wskroś "ekologiczna" encyklika okazała się znakomitą tekstem, który wpisuje się w nauczanie społeczne papieży ostatnich dziesięcioleci. Już obfitość odniesień do dokumentów poprzedników, szczególnie do niesłusznie zapomnianej i niedocenionej encykliki Benedykta XVI *Caritas in veritate*, świadczy o tym, że mimo niewątpliwej oryginalności i świeżości tego tekstu, wpisuje się on w główne linie katolickiej nauki społecznej. Jak już to uczynił w adhortacji *Evangelii gaudium*, papież Franciszek wyraźnie pragnie dowartościować i ukazać również kolegialność biskupów, sięgając często w swojej encyklice do dokumentów ogłoszonych przez konferencje episkopatów różnych Kościołów lokalnych.

Jednak najcenniejszym wkładem nowej encykliki jest ukazanie problemów ochrony środowiska w szerokiej perspektywie ekologii integralnej.

Tak właśnie określa papież własne podejście do problematyki ekologicznej. Franciszkowi nie chodzi wcale o to, by stać się stroną sporu toczącego się wokół pytań w stylu: czy i na ile działania człowieka rzeczywiście wpływają na zmiany klimatyczne, które programy ochronne mają zostać wprowadzone, a które nie, jakie formy wytwarzania energii są najlepsze, a jakie nie. Jak pisze, "w wielu kwestiach szczegółowych Kościół nie ma podstaw, by proponować definitywne rozwiązania i rozumie, że powinien słuchać i promować uczciwą debatę wśród naukowców, szanując różnorodność opinii" (nr 61).

Tym, co istotne jest wskazanie na źródło problemu ekologicznego, jakim jest technokratyczne, oparte na bezmyślnej konsumpcji i arogancji podejście współczesnych ludzi, szczególnie posiadających władzę i środki materialne, do bogactw planety, jaką zamieszkują. Problem ekologiczny jest w istocie problemem antropologicznym. "Kryzys ekologiczny - jak podkreśla Franciszek - jest ujawnieniem się lub zewnętrznym przejawem kryzysu etycznego, kulturowego i duchowego nowoczesności" (nr 119). Zapomnienie o Stwórcy i wyrugowanie Go z procesów decyzyjnych prowadzi do degradacji nie tylko środowiska, ale także człowieka, a ostatecznie zagraża całej ludzkości.

Franciszek zwraca uwagę, że logika, która prowadzi do zniszczenia środowiska, jest również odpowiedzialna za odbieranie najuboższym tego, czego koniecznie potrzebują do życia. "Jeśli nie uznaje się w samej rzeczywistości znaczenia człowieka ubogiego, ludzkiego embrionu, osoby niepełnosprawnej - by podać tylko kilka przykładów - trudno będzie usłyszeć wołanie samej przyrody" (nr 117). W ten sposób papież pokazuje, że "klasyczne" dla Kościoła katolickiego kwestie ochrony życia ludzkiego od jego początków do naturalnej śmierci, nie są wyrazem jakiejś separatystycznej katolickiej moralności, ale raczej elementami postawy konsekwentnie ekologicznej. Franciszek wyraża to z właściwą sobie bezpośredniością:

"Ponieważ wszystko jest ze sobą powiązane, nie da się pogodzić obrony przyrody z usprawiedliwianiem aborcji" (nr 120).

Papież apeluje z jednej strony do decydentów politycznych o rzetelny dialog, który nie będzie uzależniany wyłącznie interesami ekonomicznymi i wskazuje przy tym na niebezpieczeństwa płynące z faktu, że budżety niektórych koncernów przewyższają budżety całych państw. Żadne reformy i programy ochronne nie odniosą jednak skutku, bez zmiany mentalności, bez - jak mówi Franciszek - "nawrócenia ekologicznego", wyrażającego się m.in. w oszczędności i powściągliwości. By mogło się ono dokonać, potrzebne są obok wielkich programów politycznych małe kroki pojedynczych ludzi, których papież zachęca, by zaczęli w swoich codziennych decyzjach, szczególnie tych dotyczących nabywania dóbr i stylu życia, myśleć i działać alternatywnie, nie poddając się dyktatowi konsumpcji i logice "użyj i wyrzuć" (nr 123). Przypomina przy tym stwierdzenie Benedykta XVI z *Caritas in veritate*: "Kupno jest zawsze aktem moralnym, nie tylko ekonomicznym (nr 206).

Wbrew obawom krytyków papież Franciszek nie wpisał się ze swoją ekologiczną encykliką w spłaszczoną i mocno zideologizowaną perspektywę niektórych ruchów ekologicznych, chociaż mocno podkreślił powinność moralną ochrony środowiska u decydentów, polityków i globalnych "graczy" w świecie ekonomii, gospodarki i finansów. Ekologia integralna papieża Franciszka to podejście płynące z solidnej teologii stworzenia, na wskroś katolickie i charakterystyczne dla nauki społecznej Kościoła. Okazuje się, że ekologia, jak ją przedstawia papież Franciszek, nie jest wcale tematem zastępczym, ale trafia w samo sedno problemów współczesnego świata.

Sierpień 2015

Droga

Sierpień jest w Polsce tradycyjnie już miesiącem pielgrzymek na Jasną Górę. Pielgrzymowanie to ma nie tylko swoją długą tradycję, ale też niezaprzeczalną wartość. Dla wielu pielgrzymka na Jasną Górę jest czymś w rodzaju rekolekcji w drodze, głębokim przeżyciem duchowym, ale także przeżyciem Kościoła ze względu na wspólnotowy charakter tego pielgrzymkowego wędrowania.

Jak się okazuje, nieustannie popularność pielgrzymowania nie jest jedynie fenomenem polskim. W ostatnich dziesięcioleciach w całej Europie dostrzec można swoisty renesans pielgrzymowania. Dotyczy to także społeczeństw, które można by określić jako post-chrześcijańskie, w których dostrzega się wyraźny regres przynależności do Kościoła. Wzrastające zainteresowanie dotyczy szczególnie najstarszych tradycji pielgrzymkowych, do których należy przede wszystkim droga do Santiago de Compostela. Nieustannie wzrasta liczba pielgrzymów, którzy podążają szlakami jakubowymi – a w samej Hiszpanii istnieje ich co najmniej kilka –, a dawne szlaki znajdujące się w innych krajach, doprowadzające do tych hiszpańskich, są rekonstruowane, na nowo wytyczane i oznaczane. Mimo tej wielości szlaków, można mówić o *jednej* pielgrzymce, która ze względu na swoją specyfikę staje się wyjątkowym przeżyciem.

Nie jest to pielgrzymka wspólnotowa, chociaż element wspólnotowy odgrywa tu również istotną rolę. Pielgrzym na szlaku jakubowym to pielgrzym indywidualny, który sam decyduje nie tylko o długości całej swojej pielgrzymki, ale także poszczególnych etapów. Stałe elementy to wytyczony i oznaczony żółtymi muszlami lub strzałkami szlak oraz znajdujące się na nim co kilka- lub

kilkanaście kilometrów bardzo proste, czasami wręcz spartańskie schroniska dla pielgrzymów.

Nie ma tu żadnego programu, co sprawia, że wśród pielgrzymów nie brak ludzi innych wyznań chrześcijańskich, osób luźno związanych z Kościołem i wiarą, ludzi innych religii, a nawet osób niewierzących. Niektórzy z nich traktują pielgrzymowanie raczej jako specyficzny rodzaj turystyki, dla innych jest to pomysł na alternatywne wakacje lub forma sprawdzenia się w niełatwych warunkach. Ale znakomitej większości pielgrzymów towarzyszy motywacja religijna. Mimo tych różnych powodów wyruszenia na pielgrzymkę, droga do Santiago nigdy nie pozostawia człowieka takim samym, jakim był wcześniej. Czas jej trwania (kto chce ją przejść na całej długości określonego szlaku, będzie w drodze prawie miesiąc lub nawet dłużej) odciska mocne piętno w duszy i niemalże automatycznie dotyka najgłębszych pytań, jakie w pośpiechu codzienności łatwo zostają zepchnięte na margines. Niosąc na plecach cały swój pielgrzymkowy dobytek (a ze względu na wagę plecaka trzeba się dobrze zastanowić, co zabrać ze sobą!), dzieląc z innymi ciasnotę i skromne warunki panujące w schroniskach, znosząc uciążliwość pogody, bolących stóp, otarć i odcisków, które są zazwyczaj nie do uniknięcia, pielgrzym wkracza w świat, który z dnia na dzień coraz głębiej go wewnątrznie naznacza.

Cel, ku któremu się zmierza oraz świadomość, że jest się jednym z setek tysięcy pielgrzymów, którzy od wieków podążali tym szlakiem, odgrywają niewątpliwie istotną rolę. Jednak celem jest nie tylko dotarcie do Santiago, ale sama droga. To ona potrafi pokazać pielgrzymowi jego własne ograniczenia, ale także tkwiące w nim dobro, które w hałaśliwej codzienności nie znajduje okazji do ujawnienia się; to ona potrafi zadać niełatwe pytania, a jednocześnie pozostawić czas na poszukiwanie na nie adekwatnej odpowiedzi. Trudno się dziwić, że pielgrzymka do Santiago zwana jest po prostu DROGĄ - Camino. Można przecież dotrzeć do Santiago de Compostela inaczej, można zwiedzić to

święte miejsce i uczestniczyć w uroczystych nabożeństwach, jednak będzie to zawsze czymś zupełnie innym, niż dotarcie tam na własnych nogach w wielodniowej, obejmującej setki kilometrów wędrówce. Może właśnie dlatego wyruszają na nią nie tylko ludzie wierzący, ale także wątpiący, poszukujący bądź wręcz deklarujący się jako ateści. I nawet, jeżeli nie dokonuje się w jej trakcie jakieś spektakularne nawrócenie, to w głębi ludzkiego ducha zostaje zainicjowany proces, który daje człowiekowi szansę konfrontacji własnego życia ze sprawami fundamentalnymi i ostatecznymi.

Camino de Santiago dotyka czegoś zupełnie podstawowego dla chrześcijańskiej wiary, która nie bez powodu jest nazywana w Dziejach Apostolskich właśnie drogą. Chrześcijanin jest, rzec by można, ze swej natury człowiekiem w drodze, *homo viator* i wiele najgłębszych pytań dotyczących sensu życia, ale także samego Boga, znajduje swoją odpowiedź dopiero wtedy, gdy człowiek zgadza się na to, by wyruszyć w drogę u boku Chrystusa. Zanim zaczął On cokolwiek wyjaśniać swoim uczniom, zaprosił ich do drogi, do pójścia za Nim, Jego śladami. W trakcie Camino de Santiago to podstawowe powołanie każdego chrześcijanina, wyrażające się w Jezusowym wezwaniu: "Pójdź za mną", realizuje się w specyficzny sposób, nawet jeżeli nie wszyscy ludzie idący szlakiem jakubowym w pełni zdają sobie sprawę, za Kim ostatecznie podążają.

Wrzesień 2015

W drodze do Edenu

W wakacyjnych miesiącach 2015 r. ujawnił się problem, na który Europa nie była zupełnie przygotowana. Chodzi o imigrantów, którzy z krajów Bliskiego Wschodu i z Afryki północnej dziesiątkami i setkami tysięcy zaczęli nie tylko pukać do jej wrót, ale wprost forsować jej zewnętrzne granice. Tragiczne wydarzenia, jak śmierć tych, którym nie udało się sforsować Morza

Śródziemnego, ale także tych, którzy, transportowani zamkniętymi ciężarówkami, zostali pozostawieni własnemu losowi i przypłacili swoją emigrację życiem, mocno wstrząsnęły opinią publiczną. Sytuacja ta stawia społeczeństwa europejskie już nie tylko wobec pytania o jakąś formę doraźnej pomocy, ale o samo sedno wartości europejskich, których centrum stanowią przecież prawa człowieka.

Sprawa jest jednak wielowymiarowa i wszystkie jej istotne wątki muszą zostać wzięte pod uwagę. Z chrześcijańskiego punktu widzenia nie ulega oczywiście wątpliwości, że kraje europejskie nie mogą po prostu zamknąć swoich granic i pozostawić napływające rzesze własnemu losowi. Byłby to wyraz skrajnego egocentryzmu i pogardy dla tego, co najistotniejsze: dla godności każdej pojedynczej osoby ludzkiej. Biblijne opowiadanie o ucieczce Świętej Rodziny do Egiptu (Mt 2, 13nn), ale też słowa Jezusa, w których utożsamia się On z tułaczem, a tym, którzy go przyjęli, obiecuje wieczną nagrodę (Mt 25, 34-36), nie pozostawiają cienia wątpliwości co do tego, jak powinny postąpić społeczeństwa Europy. W tym kontekście apel papieża Franciszka, by każda katolicka parafia przyjęła jedną rodzinę uchodźców, jest w pełni zrozumiały. Nie na darmo wśród uczynków miłosierdzia względem ciała jest również nakaz, by "podróżnych w dom przyjąć".

To niewątpliwie jeden z głównych aspektów tej sytuacji, ale nie jest to aspekt jedyny. Nie sposób nie dostrzec, że rzesze napływające do Europy składają się nie tylko z *uchodźców*, którzy uciekają przed okrucieństwem wojny i głodową śmiercią, ale także z *imigrantów*, pragnących w Edenie, za jaki uchodzi Europa, poprawić swój los. Fakt, że większość z nich to mężczyźni, którzy wcale nie chcą osiedlić się po prostu gdzieś w Europie, ale właśnie w bogatych krajach europejskich, szczególnie w Niemczech, mówią za siebie..

Do tego dochodzi jeszcze problem polityczny, jakim jest przyczyna tak wielkiej fali imigracji. Jest nią chaos społeczny i ekonomiczny w państwach

północnej Afryki oraz wojna w Syrii i okrucieństwa Państwa Islamskiego i terrorystów islamskich, których działania, jak się zdaje, zmierzają wprost ku temu, by zmusić rzesze ludzi do ucieczki w kierunku Europy. Bez zdecydowanych działań w kierunku rozwiązania tych politycznych problemów, trudno myśleć o rozwiązaniu kryzysu migracyjnego w Europie.

Problem uchodźców i imigrantów wymaga niewątpliwie działań długofalowych z jeszcze jednego względu. Chodzi o integrację przybyszów w tych krajach, które udzielą im gościny. Najlepszym scenariuszem byłoby ich włączenie w życie społeczeństw, wśród których przyjdzie im żyć, przy zachowaniu ich własnej kultury i religii. Jednak właśnie z przybyszami z krajów muzułmańskich Europa Zachodnia ma swoje niepomyślne doświadczenia z przeszłości. Lansowana przez całe dziesięciolecia polityka "multi-kulti" poniosła całkowite fiasko. W miejsce wielokulturowych społeczeństw, w których różne religie i kultury żyją pokojowo obok siebie i razem przyczyniają się do wspólnego dobra, pojawiły się islamskie enklawy, w których trudno żyć rdzennym mieszkańcom, a przybysze, stawszy się obywatelami krajów europejskich, nierzadko domagają się wprowadzenia na terenie przez nich zamieszkiwanym prawa szariatu. Obawy przed tym, że wraz z emigrantami napłyną do Europy terroryści, muszą zostać poważnie wzięte pod uwagę.

Nie ulega wątpliwości, że ta współczesna wędrówka ludów stanowi dla społeczeństw Europy ogromne wyzwanie. Zachowując wierność swoim fundamentalnym wartościom, które nakazują udzielić schronienia i pomocy tym, których życie jest zagrożone, musi ona jednak także zadbać o ochronę swojej tożsamości.

Prałackie wyjście z szafy

Dla wielu wierzących w Chrystusa w Polsce oświadczenie ks. Krzysztofa Charamsy o jego homoseksualnej orientacji było nie tylko wstrząsem, ale także głębokim zgorszeniem. Okazało się – niestety nie po raz pierwszy –, że nacisk pro-gejowskiego lobby dosięga Kościoła nie tylko z zewnątrz, ale przychodzi także z jego wnętrza. Odsuwając na bok emocje, jakie towarzyszą oglądaniu żałosnego internetowego oświadczenia ks. Charamsy, które w języku medialnym bywa określane jako "wyjście z szafy" (*coming out of the closet*), warto przyrzeć się bliżej temu wydarzeniu.

Główny jego bohater wcale nie ukrywa, że jego wystąpienie w przededniu Synodu Biskupów poświęconego rodzinie ma być elementem medialnego nacisku na obradujących biskupów. Fakt, że osoba, która w sposób spektakularny deklaruje, że jest gejem i żyje w bliskiej relacji z innym mężczyzną, jest jednocześnie katolickim prezbiterem, prałatem, urzędnikiem Kongregacji Nauki Wiary, a więc watykańskiej dykasterii, odpowiedzialnej za czuwanie nad nieskazitelnością i klarownością wiary Kościoła, nie pozwala przejść obok niego bez reakcji. Paradoksalnie, ten bolesny fakt może być dla wielu biskupów przybywających do Rzymu na synod otrzeźwiającym prysznicem. Szczególnie dla tych, którzy ulegają złudzeniu, że wzrastający, a nawet przybierający czasami cechy instytucjonalnego nacisku wpływ ideologii genderowej może być bagatelizowany. Ks. Charamsa nie pozostawia żadnej wątpliwości co do tego, że jego żądania zmiany katolickiej nauki o płci i małżeństwie, podobne do niektórych postulatów, jakie pojawiły się w czasie ubiegłorocznej nadzwyczajnej sesji Synodu Biskupów, nie oznaczają jedynie

zmiany praktycznego podejścia czy pewnego przystosowania języka Kościoła do współczesnej wrażliwości, ale że chodzi o totalną zmianę kościelnej doktryny. Dotychczasowe nauczanie Kościoła na temat orientacji homoseksualnej to dla ks. Charamsy "okrutna", "niekompetentna" i "krzywdząca" nauka, która musi zostać zmieniona, a nawet wręcz odwołana. Lista dokumentów, jakie z dezaprobatą przywołuje ks. Charamsa, obejmuje nie tylko wypowiedzi watykańskich kongregacji, ale także Katechizm Kościoła Katolickiego, a nawet Biblię. Ponieważ trudno oczekiwać zmiany tekstów biblijnych, ks. Charamsa postuluje takie ich rozumienie, które pozwoliłoby osłabić i zrelatywizować, a ostatecznie unieważnić zawarte w nich klarowne potępienie aktów homoseksualnych. Lektura napisanego w roszczeniowym tonie, pełnego nieskrywanej pogardy dla "homofonicznego Kościoła" manifestu ks. Charamsy, skłania do podwójnej refleksja.

Najpierw manifest ten pokazuje (paradoksalnie i zapewne wbrew intencji autora!) spójność nauki Kościoła w kwestii homoseksualizmu. W ostatnich dziesięcioleciach była ona wielokrotnie przedstawiana i potwierdzana przez Magisterium Kościoła i pozostaje zgodna z niezmanipulowaną, rzetelną egzegezą biblijną. Należy dodać, że dokumenty, których odwołania i unieważnienia domaga się ks. Charamsa, nie tylko pokazują racje, dla których Kościół uznaje akty homoseksualne za grzeszne, ale zawierają także wyraźne przestrogi przed każdą niesprawiedliwą dyskryminacją osób homoseksualnych oraz potępienie aktów przemocy wobec nich.

Druga refleksja jest już bardziej osobista. Ktoś, kto jako ksiądz demonstracyjnie pokazuje swój osobisty konflikt związany z orientacją seksualną w świetle medialnych reflektorów, musi być przygotowany na niewygodne pytania. Jedno z nich brzmi: co robi praktykujący gej w Kongregacji Nauki Wiary? Gejem nie zostaje się z dnia na dzień. Gdy ks. Charamsa przygotowywał się w seminarium do kapłaństwa i przed kilkunastu laty

przyjmował święcenia kapłańskie, musiał to czynić ze świadomością, że postępuje niezgodnie z nauką Kościoła, którego dyscyplina zabrania udzielania święceń mężczyznom homoseksualnym. Można więc przypuszczać, że ukrywanie orientacji homoseksualnej, a zatem podwójne życie towarzyszyło kapłańskiej drodze ks. Charamsy. Jeżeli tak faktycznie było, to ceną za kościelne godności było swego rodzaju życiowe kłamstwo. Trudno nie nazwać cynicznym postawy kogoś, kto z pełną świadomością konfliktu z zasadami Kościoła, robi kościelną karierę poprzez to, że wzbudza zaufanie przełożonych, którzy umożliwiają mu dalsze studia, promują do sprawowania coraz wyższych urzędów kościelnych i przedstawiają jako kandydata do otrzymania kościelnych godności. Ten typ karierowiczostwa trzeba uznać za szczególnie odrażający.

Wystąpienie ks. Charamsy jest kolejną odsłoną przyjmującego coraz to wyraźniejsze kształty fundamentalnego konfliktu kulturowego. Kościół katolicki jest w tej chwili jedyną globalną siłą, która w sposób jasny i zdecydowany opowiada się za integralną wizją płci, za szacunkiem dla małżeństwa mężczyzny i kobiety i za wspieraniem opartej na nim rodziny, sprzeciwiając się tym samym uznaniu ideologii genderowej za jedyny i powszechnie obowiązujący sposób podejścia do tych kwestii. Oby rozpoczynający się Synod Biskupów wyraźnie dostrzegł i docenił powagę sytuacji, w jakiej znajduje się obecnie Kościół.

Listopad 2015

Posynodalne znaki zapytania

Nie ulega wątpliwości, że zakończony właśnie w Rzymie synod biskupów dotyczących rodziny przejdzie do historii. Najpierw ze względu na formę, jaką wybrał dla niego papież Franciszek: obrady odbywały się w dwóch etapach, oddzielonych od siebie rokiem dyskusji i refleksji, a treść obrad była

zainspirowana ogólnokościelną ankietą przeprowadzoną przed synodem. Niezwykłość tego zgromadzenia biskupów polegała jednak także na niespotykanej do tej pory otwartości debat, dotyczącej szczególnie trudnych i kontrowersyjnych tematów związanych z rodziną. Na szczęście tym razem udało się uniknąć medialnego zamętu, podobnego to tego, jaki powstał w czasie pierwszej części synodu w 2014 roku.

Uznanie kluczowego znaczenia rodziny dla Kościoła i społeczeństwa oraz związana z tym konieczność wspierania rodziny i zwiększonej troski o nią, nie budziły na synodzie kontrowersji. Niestety, temu szacunkowi Kościoła wobec rodziny towarzyszy świadomość jej głębokiego i globalnego, spowodowanego wieloma przyczynami i mającego wiele wymiarów kryzysu. Przedmiotem kontrowersyjnej debaty były natomiast - jak do miało już miejsce w trakcie pierwszej części synodu - pastoralne problemy związane z rodzinami niesakramentalnymi, szczególnie osobami, które po rozpadzie sakramentalnego małżeństwa zawarły nowe cywilne związki oraz zagadnienia związane ze związkami jedнопłciowymi. Wręczony papieżowi dokument podsumowujący synod został ostatecznie zaaprobowany przez dwie trzecie ojców synodalnych i nie wzbudził takich kontrowersji, jak relacja synodalna sprzed roku. Jednak ceną tej większościowej aprobaty jest wieloznaczność tego dokumentu właśnie w drażliwych kwestiach.

W numerach 84-86 dokumentu omówiona została kwestia statusu osób rozwiedzionych, które zawarły nowe związki. Pojawia się tu szereg cytatów z i odniesień do *Familiaris consortio*. W adhortacji tej Jan Paweł II wskazał na potrzebę uważnego rozeznawania i rozróżniania przez duszpasterzy poszczególnych sytuacji i decyzji, które doprowadziły do sytuacji wykluczenia od przyjmowania sakramentów. Konieczność towarzyszenia im i wspierania ich na drodze wiary, jak też unikanie niesprawiedliwego i krzywdzącego języka została przez biskupów z naciskiem wyartykułowana. Kluczowa ma być w tym

obszarze indywidualna troska duszpasterska, która pozwala na przynajmniej częściowe "rozliczenie" z przeszłością, związaną z rozpadem sakramentalnego małżeństwa. Poza tym dokument postuluje uwzględnianie etapowego, stopniowego charakteru nawrócenia człowieka, jak też różnych stopni odpowiedzialności za dokonywane w przeszłości decyzje. Wszystkie te aspekty i postulaty stanowią dobrze ugruntowane elementy praktyki pastoralnej Kościoła. Jednak wśród wielu cytatów i odniesień do nauczania Jana Pawła II nie ma w tekście dokumentu jasnego stanowiska dotyczącego przyjmowania sakramentów przez osoby cywilnie zaślubione, takiego, jakie znajduje się właśnie w adhortacji *Familiaris consortio*. Stwierdzenie, że towarzyszenie osobom cywilnie zaślubionym po rozwodzie powinno się dokonywać "zgodnie z nauczaniem Kościoła i wytycznymi biskupa" są na tyle lakoniczne i wieloznaczne, że mogą być różnie interpretowane.

W odróżnieniu od tego problemu, biskupom udało się sformułować jasne stanowisko wobec związków jedнопłciowych. Dokument końcowy podkreśla wprawdzie konieczność szacunku dla osób homoseksualnych, jednak potwierdza jednocześnie dotychczasową naukę Kościoła, zgodnie z którą nie ma analogii, nawet odległej, między tego rodzaju związkami a małżeństwem. Ten jednoznaczny głos jest niewątpliwie istotny w kontekście pojawiających się coraz bardziej natarczywie prób redefinicji małżeństwa i rodziny, zmierzających do tego, by pojęcia te uwzględniały wszelkie typy związków, a nie tylko małżeństwo mężczyzny i kobiety.

Należy z jednej strony niewątpliwie wyrazić radość, że ojcom synodalnym udało się zapobiec poważnemu rozdzwinkowi w nauczaniu Kościoła, jednak z drugiej strony widać wyraźnie, że niektóre najbardziej palące kwestie zostały pozostawione w zawieszeniu. Skutkiem może być faktyczne rozbitcie praktyki duszpasterskiej i uzależnienie jej od lokalnych decyzji pastoralnych. W czasach globalizującego się świata i w odniesieniu do tak istotnej kwestii, jaką jest

sakramentalne małżeństwo, nie sposób jednak poważnie myśleć o tym, by wytyczne duszpasterskie miały być diametralnie odmienne w zależności od decyzji poszczególnych episkopatów.

Nie wiadomo jeszcze, czy i kiedy - jak to działo się po dotychczasowych synodach - papież Franciszek ogłosi adhortację podsumowującą synod o rodzinie. Klarowne słowo Piotra naszych czasów mogłoby niewątpliwie zapobiec zamętowi, który na pewno nie poprawi sytuacji katolickich małżeństw i rodzin.

Grudzień 2015

Oblicze Miłosiernego

Nadzwyczajny rok jubileuszowy jest kolejnym zaskakującym krokiem, dzięki któremu papież Franciszek zamierza wpłynąć na współczesną historię Kościoła. Nie jest to jednak, jak się wydaje, krok będący efektem nagłego spontanicznego natchnienia, ale należy go raczej postrzegać jako element długofalowej strategii. Papież wskazuje na te aspekty katolickiej wiary, które w sytuacji, w jakiej obecnie znajduje się ludzkość, wydają się być szczególnie cenne, wręcz niezbędne.

Miłosierdzie nie jest jednym z pobocznych motywów biblijnych, ale dotyczy czegoś absolutnie najistotniejszego: obrazu Boga. To właśnie obraz Boga, jaki noszą w sercach ludzie słuchający Ewangelii może ułatwić lub utrudnić, a czasami wręcz uniemożliwić jej słuchanie. I nie chodzi tu jedynie o tych słuchaczy Ewangelii, dla których Bóg jest jedynie srogim sędzią, który w iście aptekarski sposób odpłaca za każdy, nawet najmniejszy grzech. Chodzi także o tych, według których Bóg niezbyt interesuje się ani dobrem, ani złem popełnianym przez ludzi, a słowo *miłosierdzie* oznacza pewną formę "taniej

łaski", które pozwala na uzyskanie Bożego przebaczenia niejako po "zaniżonej cenie", bez konieczności zmiany życia.

By te wykrzywione obrazy Boga zostały skorygowane, istotnym elementem Roku Miłosierdzia musi być powrót do najbardziej podstawowych prawd ewangelicznych. Należy do nich pogłębione zrozumienie istoty Dobrej Nowiny. Są w ewangeliiach teksty, które w sposób niezwykle syntetyczny wyrażają to, o co właściwie chodziło Jezusowi. Należy do nich fragment Ewangelii wg św. Marka, który w sumaryczny sposób, właściwie w jednym zdaniu, przedstawia treść nauczania Jezusa: *Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże. Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię!* (Mk 1,15). Pierwsze dwie części tego fragmentu wskazują na działanie Boga. Bóg nie chce dłużej czekać, aż człowiek go odnajdzie, ale sam wychodzi ku niemu. Jest w tych zdaniach cała gwałtowność Bożej miłości. Bóg mówi: Dość! i wkracza w historię osobiście w Osobie Jezusa Chrystusa. To właśnie On - Chrystus - jest królestwem Bożym, które wkracza w dzieje ludzkości raz na zawsze i nieodwołalnie. I to jest właśnie Dobra Nowina, gdyż człowiek nigdy nie byłby w stanie o własnych siłach zbliżyć się tak bardzo do Boga, a zaplątany w swój grzech, nie byłby w stanie nawet zrozumieć swojego położenia. To jest oferta Bożego zmiłowania, która nie ma sobie równych. Jednak w powyższym fragmencie Ewangelii Markowej jest także druga część: wezwanie do nawrócenia i do wiary. Człowiek nie jest tu konfrontowany z niebotycznymi wymaganiami, ale zostaje wezwany do zdecydowanego kroku w stronę Boga. Nic więcej, ale też nic mniej. Bez nawrócenia oferta miłosierdzia pozostanie jedynie pewną teoretyczną możliwością, nierozpakowanym prezentem, który ktoś lekceważąco odsyła do adresata.

W bulli ustanawiającej nadzwyczajny Jubileusz Miłosierdzia *Misericordiae vultus* papież Franciszek podkreśla ten związek miłosierdzia jakie płynie ze strony Boga z gotowością do nawrócenia ze strony człowieka: *To jest właśnie czas sposobny na zmianę życia! To jest czas, aby pozwolić dotknąć swe serce. [...] Wystarczy tylko przyjąć zaproszenie do nawrócenia i poddać się sprawiedliwości, podczas gdy Kościół ofiaruje miłosierdzie.*

To poddanie się sprawiedliwości oznacza zobaczenie życia w świetle Bożej prawdy. Boży sąd, który czasami mylnie rozumiany jest jako przeciwieństwo Bożego miłosierdzia, nie jest niczym innym, jak rzuceniem światła Bożej prawdy na życie i postępowanie człowieka. W tym Bożym świetle życie i postępowanie człowieka ukazuje się w całej swojej prawdzie, czasami w całej swojej brzydocie. Jej uznanie, jej akceptacja jest pierwszym i niezbędnym krokiem w procesie nawrócenia.

Przypomnienie tej Bożej dynamiki miłosierdzia jest niewątpliwie jednym z istotnych zadań w Roku Miłosierdzia, aby ten kolejny etap wysiłku ewangelizacyjnego Kościoła nie został spłaszczony czy wykrzywiony, a przez to zaprzepaszczony. Papież Franciszek zapowiedział wysłanie do wszystkich diecezji swoich specjalnych wysłanników, których określił jako "misjonarze miłosierdzia", a którzy zostaną wyposażeni w szczególne uprawnienia, zarezerwowane w zwykłych okolicznościach Stolicy Apostolskiej. W ten sposób nadzwyczajny jubileusz miłosierdzia może stać się dla wielu wiernych czasem prawdziwego przebudzenia i doświadczenia miłosiernego oblicza niebiańskiego Ojca.

Ks. Marian Machinek MSF